

Szkołka



niedzielną

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela dwunasta po Zielonych świątkach, dnia 3. Sierpnia 1845.*

Religia.

Historya nawrócenia mieszkańców wysp gambijskich w Australii.

(Dalszy ciąg.)

Król odplynął na tratwie do Tarrawai, i dla tego ojcowie uprzedzili go swoim statkiem na dobrą chwilę. Wyszli oni z ludem do brzegu na jego przyjęcie. Skoro ich zobaczył, poszedł naprzeciw ich powitać. Siedzieli obok siebie na ziemi. Chciał on zajrzeć do brewiarza księdza Caro i zastanawiał się nad wizerunkami Matki boskiej, Jezusa ukrzyżowanego, i świętego Frańciszka Ksawerego, które mu ksiądz Caro pokazał. Skoro młody król swoją ciekawość zaspokoił, wstał prędko i poszedł swoją drogą. Następnego ranku (3go Marca) obecny był król, wraz z krajo-
wcami, Mszy świętej. Ksiądz Laval czytał Mszę świętą, i właśnie gradualną modlitwę kończył, kiedy król przyszedł i zaglądając mu w oczy, liczne zadawał pytania. Kapłan mu rzekł, iżby spokojnie stał z daleka, gdyż teraz modlitwą są zajęci. „Cóż to jest?“ zapytał on. „To jest,“ odpowiedział kapłan, „wielka modlitwa, którą wielkiemu Bogu ofiarujemy. Jego tylko samego należy wiel-

bić.“ Nakazał mu potem milczenie; lecz po kilku minutach zapytał król znowu: „Czemż oczy twoje nie są otwarte?“ Nakazał mu znowu milczenie. Podczas ofiarowania zbliżył się do kapłana, chcąc widzieć, co czyni. Tu dał mu znak ksiądz Caro, iż się ma cofnąć. Zawstydzilo go to, i cofnął się, milcząc. Po mszy ukazał się z dziećmi i chciał być na naukę przyjęty. Ojcowie uważali, że młody król był dumny i nie ugięty, kiedy mu pobjażali, że przeciwnie ustępował i rozsądnie się zachowywał, kiedy mu stałość okazali. Po modlitwie szkolnej rozkazał on księdzu Caro, aby do niego przyszedł i uczył go czytać. „Nie,“ rzekł ksiądz Caro, „chódźcie tu sami.“ Król przybrał ton pański i zawołał ze wszystkich sił: „Tarota niech tu przyjdzie!“ Lecz ten odpowiedział mu łagodnie, jednak z nieugiętością: „Missyonarz nie pozwala sobie przeszkadzać; jeżeli chcecie, to chódźcie tutaj.“ Nie odpowiadał nic na to, lecz zaraz udał się do księdza Laval i okazał się bardzo pojętym. Ten kazał mu czytać i znak krzyża czynić. Już podczas szkoły żądał on od ojców statku przewoźnego, zamierzając przejechać się dla rozrywki do góry piaskowej, na 3 godziny odległej. Od-

mówili mu tego, gdyż przewidywali, iżby łatwo na skałę z towarzyszami wpadł i rozbił statek, który ich tyle kosztował i był bardzo potrzebny. Potem swe żądanie powtórzył, i by je tém łatwiej osiągnął, przyobiecał jeszcze tego wieczora powrócić. Przyrzekli mu wreszcie, by go tém łatwiej dla Jezusa pozyskać; lecz postanowili sami z nim popłynąć, by statek i podróżnych od szwanku ochronić. Król, mimo swęj obietnicy, kazał wziąć żywności na cały tydzień, i skoro tam przybyli, kazał ojcom oświadczyć, że tam chce nocować. Lecz ci odrzekli, że tego wieczora wracali do Tarrawai. Wieczorem kazali mu oznajmić, iż mu drugą razą statku przewoźnego nie dadzą, jeśli z nimi do Tarrawai nie wróci. Tak lud ten podobny jest do dzieci, i posłannicy wiary stali by się wnet igrzyskiem jego kaprysów i humorów, gdyby nie byli również starymi jak dobrymi i uprzejmymi.

Za przybyciem na wyspę Tarrawai, posłyszeli oni, iż dziecię arcykapłana umarło. Zasmucili się tém ojcowie, gdyż jeszcze nie było ochrzczone. Następnego dnia odplynęli bardzo rano do Mangarei i z wielkiem dla siebie weselem dowiedzieli się, że dziecko jeszcze żyje, i nie chrzcili go aż do wieczora, ponieważ jeszcze niebezpieczeństwa nie uważali. Wtém dano znać, że 26^{ciu} dzikich z innych wysp, Paumuti zwani, którzy perły poławiali, na wyspę, jako nieprzyjaciele, wylądowali. „Oberwą nam wszystkie owoce,“ rzekł arcykapłan. „Nie masz szkody, którejby nam nie wyrządzali. Idźcie obadwa i wypądzcie ich z wyspy, bo inaczej zginęliśmy wszyscy.“ Ojcowie byli w wielkim kłopotcie: czyli rozsądnem przełożeniem gości nieproszonych na lepszą drogę naprowadzić

i od rozbójniczego rzemiosła mieli odwieść? Dobro missyi tymczasem wymagało, aby się interesowali nowo-nawróconymi, i niczego nie opuścili, by im spokojność wrócić. Poszli więc, a niektórzy z krajowców rozgłaszali po drodze, co ojcowie czynić zamýślali. Wnet zebrała się koło nich znaczna gromada wyspiarzy, którzy im aż do góry towarzyszyli, za którą leżała zatoka, gdzie się zbójcy schronili. Tu przybywszy, rozkazali kapłani gromadzie na górze pozostać, sami zeszli na dół rozprawić się z Paumutami. Polecili tę sprawę przyczynie Maryi, i ukazali się z wypożdżonem czołem tym ludziom złośliwym. Byli to ludzie, pochodzący z wyspy, gdzie innych wyznań Missyonarze osiedli. Ich nauka nie przyniosła jeszcze dobrych owoców. Obadwa kapłani chcieli tych dzikich łagodnością pozyskać i rzekli do nich, iżby się wstrzymali od grabieży, którą się dotąd bawili; że skoro raz prawego Boga poznali, to powinni jako ucześciwi ludzie postępować. Z początku zapierano, o co ich obwiniano. Następnie do mieszkańców wyspy obróciwszy się, rzekli: „Dopóki Missyonarzów nie przyjmiecie, nago chodzić i bałwanom będziecie się kłaniać, dopóty nie przestaniemy was grabić. Jeśli uznacie jednego Boga i inaczej żyć będziecie, wtedy przestaniemy was po nieprzyjacielsku nachodzić.“ „Przestańcie,“ rzekli im kapłani, „bo lud ten jest dobrym ludem.“ Zbójcy ślubowali pokój, a kapłani się cofnęli, niosąc tę wiadomość arcykapłanowi Matura; bo on jest pierwszym po królu, a król nie był wtedy obecny. Matura dziękował im za dobrodziejstwo, które jego narodowi wyświadczyli, uwalniając ich od zgrai zbójców, co ich tak wielkiego strachu naba-

wiła, i ofiarował im dom własny na nocleg. Był to dom dla ich bożyszcz; lecz gdy nie było innej gospody, przyjęli i tę ofiarę. Mieli także przyjemność, iż bliżej byli chorego dziecięcia, które tego jeszcze wieczora ochrzcić chcieli, ale potajemnie; było to dziecię bowiem pogańskiego arcykapłana. Woda chrztu płynęła w przybytku szatana, z wielkiem zapewne jegoż udręczeniem. Uzbrowiwszy się krzyżem świętym, pokładli się na żaglu swego okrętu; sam Matura zaś i mnóstwo ciekawych, leżeli około ognia, który mieszkanie oświecał.

Drugiego dnia (5go Marca) chcieli ojcowie odmówić modlitwy, kiedy pogański arcykapłan w tłumie wyspiarzy wpadł zadyszany, skarżąc się na zerwanie pokoju przez Paumutów. Niegodziwa zgraja zbójców jeszcze tej nocy łupiła i wicherzyła, a cała wyspa sądziła się już za zgubioną. „Zginęliśmy,“ wołał Matura. „Chódźcie jednak, chódźcie!“ Nie było czasu myśleć o odporze i ojcowie musieli iść naprzód. Po całej wyspie rozległ się gwałt i wszyscy ludzie zebrali się razem, dzidami uzbrojeni; arcykapłan okazał wielką czynność, lecz gdy do góry przybyli, za którą Paumuci obozowali, waleczny wódz nie chciał pójść dalej. Lecz ojcowie grozili, iż bez niego nie pójdą dalej, zwłaszcza, iż tylko dla jego i krajowców dobra wyszli: „My nie idziemy bić się, lecz rozprawić z Paumutami i zniewolić ich, aby zdobycz oddali.“ Musiał się więc znowu do orszaku przyłączyć i przybyli do przeciwników. Gromada musiała w tyle pozostać, a ojcowie przełożyli swoje zażalenia. Ich dowódzca, Amerykanin, dobrze przyjął te przełożenia i zaraz był gotów między ludźmi swoimi zarządzić ślédztwo. Musiano z obu stron broń złożyć i łupy od-

dano właścicielom. Już dziękowali obadwa Bogu miłościwemu, za tak pomyslny wypadek sprawy, i chcieli właśnie jeść śniadanie, które pośrednikom z obu stron przygotowano, gdy wtém powstaje spór między dwoma przeciwnikami. Udało się wprawdzie ojcom rozbroić kłótników; lecz Paumuci, złośliwy naród, narobili wrzawy i wpadli na bezbronnych wyspiarzy. Pośród krzyku okropnego porwali i ci za broń i walka była powszechna. Walczyli jakby lwy przeciw lwom. Chrześcijańscy kapłani znajdowali się z godzinę wśród dzid, strzelb, oszczepów, pełni ufaości w Bogu i jedynie zajęci uspokojeniem stron obudwóch. Nie słuchano wprawdzie ich głosu, gdyż okropny odgłos 1,000 wyspiarzy, walczących przeciw 26 Paumutom, zagłuszał. Ocalili oni jednak dwom Paumutom życie i wstrzymali złe własném niebezpieczeństwem. Wśród wrzawy walki z obu stron miano dla nich uszanowanie i nie jeden oszczędzał nieprzyjaciela z bojaźni ugódnienia ojców. Nakoniec udało się Paumutom uciec, i rzucić się w morze, dla dostania się do trzech statków swoich przewoźnych. Ścigali ich tu krajowcy, od niewiast swoich zapaleni, i zdobyli statek, w którym się amerykański dowódzca znajdował. Ojcowie lękali się o jego życie, lecz w końcu dostali go w swoje ręce i ocalili. Z łaski Boga byli od ran wolni, i cieszyli się, że w tak zapalczywój walce nikt nie poległ, a z wielu ranionych nikt nie był śmiertelnie ranny. Po bitwie umawiali się oni z arcykapłanem względem dobytego statku, i ten przyrzekł oddać go właścicielowi, oraz postanowili zaraz na własnym statku swoim do Akany odjechać, gdzie Amerykanin mógł się spodziewać więcej bezpieczeństwa. Przed odjazdem chciał

im Matura dać jeszcze jeden dowód swęj wdzięczności, iż wyspę od jęj nieprzyjaciół uwolnili. Obiecał im dać dom, w którym noc przepędzili i dziecęg jego ochrzciłi. „Zostańcie tu,“ rzekł on, „ni załóżcie szkołę; ten dom jest waszym.“ „Kiedy tak,“ odpowiedzieli, „każcie wyrzucić bożyszczę wasze, wynieście zwłoki, kaźcie to łożę dokąd inąd przenieść, oczyścić dom i wysypać piaskiem. Jeśli to uczynicie, to wrócimy za 3 dni i zajmniemy go w posiadłość.“ Załowali, iż tego zaraz uczynić nie mogli. Wszystko już było w pokoju, kiedy wyspę Mangareę opuścili. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmałtości.

G a z e t y.

(Dalszy ciąg.)

„Jeszcze Bolesław Wysoki w przywileju klasztoru lubieńskiego roku 1178. mówi o podatkach, służebnościach, orce, tylko na rzecz monarchy, kasztelanów lub innych urzędników (suparūalii), choć oczywiście chce wyrazić obowiązki kmieci względem wszystkich a wszystkich osób.

„Pierwiastkowo nie było wcale wsi szlacheckich, lecz pewnie w XII. stuleciu zjawiać się poczęły. Z tą uwagą należy czytać słowa jednego z lepszych pisarzy, które następują: „Przechodziły z rąk do rąk dobra,“ mówi Skrzetuski wprawie polityczném, „jak i teraz; dawali je królowie duchownym lub rycerstwu, przedawali je szlachta, ale kmieci czyli chłopci odmieniając panów, nie przestawali być właścicielami i dziedzicami gruntów swoich. W wielu przywilejach czytamy kmieci nazywanych dziedzicami; znajdujemy także, iż sprawy o dziedzictwo chłopskie od jurysdykcji książęcej były wylączone. Już, co się sprawiedliwości tycze, wiadomo jest z dziejów staroży-

nych, że wszyscy poddani dóbr książęcych, jak szlacheckich i duchownych, sądzili się w sądach kasztelanów, których naówczas niby powiatowymi rządzcami i sędziami monarchowie polscy z ramienia swego stanowili. Dziedzice nie mieli władzy sądenia poddanych swoich, chyba, że na to osobne przywileje od królów lub książąt otrzymywali. Jakoż prerogatywa ta była często pozwalana naprzód duchownym, że książęta polscy czyniąc im fundusze, uwalniali poddaństwo dóbr im nadanych od sądów kasztelańskich, od wszelkiej swojej jurysdykcji, zostawując rozsądeniu opatów lub jakiegokolwiek nazwiska przełożonych duchownych, wszelkie wieśniaków sprawy. Czasem jednak spory o dziedzictwo chłopskie sądowi nadwornemu warowali, jak między innemi opiewa przywilej Leszka Czarnego roku 1286., dany klasztorowi tynieckiemu: „wyjąwszy sprawę o dziedzictwo, w której nieinaczej będą pozywani, tylko przez list naszą pieczęcią zaopatrzony.“ Podobnie dziedziczne dobra szlacheckie, a nawet nadawane od siebie imiona szlachcie i rycerzom wyjmowali od władzy swojej, oddając dziedzicom zupełną moc sądenia. Nakielski i Antiquit. Miechow. wypisuje przywilej Bolesława Wstydlwego roku 1252., dany Klemensowi z Ruszczy, wojewodzie krakowskiemu. Przetłumaczone z łacińskiego słowa tego przywileju są: Niechajże ma ten Comes Klemens, ze wszystkimi następcami swymi, władzę sądenia ludzi swoich, do wszystkich wyroków, podług formy dworu naszego. — Podobnyż przywilej, z dawna Płazie, Zawiszy i Nekandzie z Grzegorzowic służący, a przez Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiellę potwierdzony, wspomina Okolski in Orb. Polon. lit. Topor. (Dalszy ciąg nastąpi.)